

Anna Nowak

BOGOWIE

nie umierają



**Człowiek
z sercem na dłoni**

*Powieść o życiu
Profesora Zbigniewa Religi*

Człowiek z sercem na dłoni

Anna Nowak

Człowiek z sercem na dłoni

e-book
ASTRUM
M E D I A
www.astrummedia.pl
W R O C Ł A W

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Opracowanie redakcyjne
JOLANTA TKACZYK

Redakcja techniczna
ZESPÓŁ WYDAWNICTWA

Projekt okładki
JERZY MICHALSKI

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana,
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób,
włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu
innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy*
(art. 116, 117 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych
z dn. 4.02.1994 r.)

Zamówienia na książki można składać na kartach pocztowych
lub przez Internetową Księgarnię Wysyłkową
www.wydawnictwo-astrum.pl

Zapraszamy do zakupu naszych książek, multimediiów,
słuchowisk, poezji śpiewanej w formie e-booków i e-audiobooków
na platformach cyfrowych

Nasz adres
Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.
50-374 Wrocław, ul. Norwida 19/6
e-mail: handlowy@astrum.wroc.pl

ISBN 978-83-63758-71-4

Wielkie serce

Perliste krople potu wystąpiły pod obrzeżem czepka i spływając zatrzymywały się na linii brwi. Skupiony chirurg pochylony nad pacjentem wcale ich nie ocierał, pozwalał żeby zajmowała się tym siostra instrumentariuszka, choć łaskotało go to i swędziało, nie mogło już rozproszyć. Ręka ze skalpelem sprawnie rozcięła skórę, nie było to nic skomplikowanego, to potrafi jednym ruchem każdy student medycyny. Pojawiła się długa, cienka czerwona smużka na linii mostka, asystenci chirurga odsłonili zaraz powłoki skórne, by ukazały się pokryte purpurową tkanką rusztowania żeber. Potem dłoń ujęła pewnie kleszcze, krótka chwila na odnalezienie właściwego punktu i żebra pacjenta zostały rozsunięte z wielką siłą, odsłaniając serce. Laik nie dostrzegłby różnicy, jednak Zbigniew Religa już na pierwszy rzut oka zauważył, że serce pacjenta poważnie niedomaga. Pomimo ogromnych rozmiarów pracowało powoli, a skurcze były nieregularne. Wielkie, czerwone, przerośnięte jak balon. I leniwe, prawie nie pompowało już krwi. A tak naprawdę bardzo zmęczone, podobnie jak jego właściciel, który przez całe życie pracował ponad siły na roli. To nie najlepszy sposób na życie dla kogoś, kto mieszka na Śląsku. Tu każdy prędzej czy

później zachoruje na płuca albo na serce, albo na jedno i drugie. Dlatego chyba w tej części Polski najwięcej jest dobrych szpitali – przystosowanie do lokalnych warunków.

Odsłonięcie serca to dopiero preludium. Krwi było niewiele. Wsiąkała w chusty chirurgiczne starannie rozłożone wokół ciała pacjenta. Chałaty i rękawiczki lekarzy wciąż jeszcze pozostawały czyste. Dopiero teraz rozpoczynała się właściwa operacja, która – o ile wszystko pójdzie jak należy, może uratować ludzkie życie. Tylko że tutaj oprócz precyzyjnej ręki chirurga i właściwej terapii lekami przeciw odrzutowymi potrzebny był prawdziwy cud. Stosowano głównie immuran. Nikt wówczas nawet nie słyszał o znacznie skuteczniejszej cyklosporynie.

Dla pacjenta leżącego na stole operacyjnym nowe serce było jedyną nadzieją. Bez tego umrze, a zgon to tylko kwestia czasu. Właściwie już był trupem. Lekarz zaś był jedynym, który mógłby go ożywić.

Religa pamiętał dobrze spojrzenie pacjenta, który teraz leżał przed nim bezbronny, z rozrzuconymi na boki płatami skóry wokół otwartej klatki piersiowej. Oczy zachodziły mu mgłą, gdy mówił, że żaden lekarz nawet nie próbował przed nim ukryć, że czeka go rychła śmierć. Cieszył się, że o tym wiedział, że miał czas na uporządkowanie spraw, pożegnania z rodziną. Mówił, że nie chce fałszywej nadziei, a jednak tak bardzo jej potrzebował. Ta rozmowa przywiodła na jego twarz uśmiech nadziei, ale nie tej złudnej ani fałszywej. Lekarz również chciał wierzyć, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i stary człowiek otrzyma nowe życie, ale jedyne co mógł obiecać, to że uczyni wszystko, aby tak się stało.

To byłby pierwszy w Polsce skuteczny przeszczep serca i to w czasach, gdy co trzeci operowany na świecie pacjent umierał na stole, a większość z nich nie dożywała dwóch lat po operacji.

Mimo to chirurg był niezwykle pewien tego, co robił, każdy ruch zdawał się być przemyślany, wystudiowany i sprawdzony po tysiącokrotnie w praktyce, choć uczył się zaledwie teorii, z podręczników i prasy medycznej. Ciężka na nim ogromna odpowiedzialność – nie tylko za życie pacjenta, ale za losy całej polskiej transplantologii, nie tylko w dziedzinie kardiologii. Tuż przed operacją dzwonił do profesora Nielubowicza, a ten dosłownie błagał młodego kolegę, by tego nie czynił, by zaniechał przez wzgląd na jego plany. Nielubowicz planował przeszczep wątroby i zdawał sobie sprawę, że ewentualne niepowodzenie Religi odbije się szerokim echem w środowisku tak lekarzy, jak i pacjentów, a skutkiem będzie ostracyzm, antypatia i wstrzymanie dotacji na dalsze badania, a także obwarowanie bardziej rygorystycznymi prawami w kwestii pobierania narządów do transplantacji.

Jednak Religa starał się o tym nie myśleć. Pamiętał twarz pacjenta, jego oczy, pamiętał też drżący głos swojego pracownika, Zembali, który mówił:

– To bardzo ważne również dla mnie, dla moich rodziców, ten człowiek przez trzydzieści lat mieszka obok moich rodziców, to ich najstarszy, najbardziej zaufany sąsiad...

Pot spływał strugami po czole lekarza, lecz ani myślał rezygnować. Im trudniejszy przypadek, tym bardziej fascynujący i więcej można się z niego nauczyć. Gorzej jeśli trudność polega na tak wielkim obciążeniu emocjonalnym.

„Zimne serce, zimne serce – myślał dotykając narządu przez cienką gumę rękawiczek. – Zaraz cię ogrzejemy, zaraz podłączymy cię do naczyń wieńcowych, puścimy krew i będziesz działać!”

Mając do pomocy grupę adeptów medycyny założył od podstaw klinikę w Zabrze i od razu obiecał im, że będą wszczepiać by-passy, operować zastawki, a w końcu także przeszczepiać serca. Brzmiało to wspaniale i każdemu z nich rozbłyły oczy na myśl o tych wielkich przedsięwzięciach, jednak każdy skłonny był przyznać, że jeśli to się uda, to znaczy, że opatrność nad nimi czuwa.

Tylko główny pomysłodawca i wykonawca operacji miał na ten temat inne zdanie. Zaglądając w głąb pustej klatki piersiowej, z której właśnie usunął chore serce, nie czuł, że ma przed sobą świątynię ciała – boskie stworzenie. Dla niego to tylko skomplikowana, nie dość zbadana i nie dość przewidywalna aparatura, która nader często się psuje, zaś on – lekarz jest jedynym, który potrafi ją naprawić.

Głęboka, ziejąca pustką jamą w samym środku klatki piersiowej wyglądała upiornie. Jak pusty oczodół w twarzy człowieka, któremu wyłupiono obie gałki oczne. Dziura po wyrwanym sercu była ogromna, gdyż przeciążone serce rozrastało się i rozrastało, niezdolne mimo to pompować dostatecznej ilości krwi. Monstrualne serce ledwie mieściło się w klatce piersiowej, uciskało na inne narządy, stąd ciągłe duszności pacjenta, a później też woda w płucach. Nowe serce, znacznie mniejsze, będzie wyglądało kuriozalnie w miejscu po starym sercu, które właśnie zostało usunięte.

Człowiek bez serca, czy to w ogóle jest jeszcze człowiek?

– zastanawiał się młody lekarz, Romek Cichoń, asystujący przy operacji. To było coś nowego, lekarze świeżo po studiach w polskich szpitalach zazwyczaj byli wykorzystywani głównie po to, żeby skoczyć do monopolowego po wódkę albo pozamiatać podłogę, gdy salowa zaniemogła. Dla Cichonia Religa był wizjonerem, może nawet świętym. Chciałby brać z niego przykład, jednak coś go powstrzymywało przed tak bezkrytycznym przyjęciem Religi za wzór. Święty, który nie wierzy w Boga? A może sam chce być bogiem? Co czuje, gdy trzyma w dłoniach ludzkie serce, świeżo pobrane od dawcy? Czy czuje jak uchodzi z niego ciepło? Jak z każdą sekundą, z każdą milisekundą uchodzi z niego życie? Czy przeszczepiając serce jednego człowieka do klatki piersiowej drugiego czuje, że tamtemu odbiera życie i daje je temu drugiemu? Czy to przyjemne uczucie być panem życia i śmierci? A może za bardzo cięży przytłaczające brzemie odpowiedzialności? Nie każdy przecież może być bogiem...

Dla innych lekarzy był hieną. Wcale się z tym nie kryli. Nikt nie lubi myśleć ani rozmawiać o śmierci i to nieprawda, że lekarze są na to bardziej odporni. Oni też chcieliby wierzyć, że ich praca polega na leczeniu, uzdrawianiu, przywróceniu życia, nie zaś na opóźnianiu nieuniknionej śmierci. Każdemu kiedyś, prędzej czy później zdarzy się śmierć pacjenta. Jednak wtedy lekarz stara się jak najszybciej zapomnieć o „wypadku”. Zwłoki szybko zakrywa się białym prześcieradłem i wywozi do chłodni. Im szybciej się o tym zapomni, tym lepiej. Lekarz nękaną traumą po śmierci pacjenta nie może skutecznie pracować, leczyć...

A tu pojawia się Religa i pyta o zwłoki zmarłych. Co gor-

sze – jego nie interesują wcale te zapomniane ciała z chłodni. On chciałby podłączać od aparatów pacjentów przed formalnym stwierdzeniem zgonu. Przekonuje, że nastąpiła śmierć mózgową i można stwierdzić zgon, ale przecież serce pacjenta jeszcze pracuje. A on chciałby wyrwać z ciała bijące serce i włożyć je komuś innemu. Przecież lekarzowi nie wolno zabijać, przynajmniej nie celowo. „Primum non nocere” – Religa składał przysięgę Hipokratesa jak każdy z nich. Kto dał mu prawo, by uśmiercać jednego pacjenta dla dobra drugiego?

Tysiące pytań bez odpowiedzi kłębiło się w głowie Cichonia. Prawdopodobnie Religa odpowiedziałby w sposób nader pragmatyczny, że robi tylko to, co może. Skoro u dawcy i tak już stwierdzono śmierć mózgową, nie potrzebuje już swego zdrowego serca, i tak jest już martwy. Natomiast biorca bez tego serca również skazany jest na śmierć. To niemądre pozwolić na śmierć obu ludzi, skoro można uratować przynajmniej jednego z nich. Zwyczajny ludzki rozsądek nakazywałby wykorzystać tę szansę.

Czy to wszystko takie proste? Jak naprawa samochodu w warsztacie u mechanika? Wystarczy wymienić zepsutą część na nową i znów wszystko funkcjonuje jak należy.

Teraz na stole operacyjnym leży pacjent z otwartą klatką piersiową, a chirurg-mechanik włożył serce do pustej jamy, po czym starannie scalał naczynia krwionośne wokół nowo dopasowanego narządu. Dobrze wiedział jak się poruszać w czerwonej płątaninie arterii, zupełnie jak mechanik montujący sprawny, świeżo naładowany akumulator. A jednak po szczytciu powłok pacjenta czekała długa rekon-

wallescencja, której efekt nie był oczywisty do przewidzenia. Tymczasem mechanik ledwie zamknął z trzaskiem klapę, a już można było siadać za kierownicę i sprawdzać osiągi wozu bez strachu, że w razie niepowodzenia stanie się coś nieodwracalnego, co uniemożliwi ostateczną naprawę. Przeżycie lub zgon pacjenta zależne były od wielu czynników – nawet dobrze wykonana operacja nie dawała pewności. Ręce mechanika umazane były smarem. Chirurg po każdej operacji zmywał krew, w której nieraz zanurzał ręce aż po łokcie.

– Widzisz młody, nie było tak źle! – powiedział Religa do stojącego obok Cichonia.

Młody lekarz ledwie trzymał się na nogach. Nie był pewien czy to, w czym właśnie uczestniczył, wydarzyło się naprawdę, czy też może było ledwie fantastycznym snem. Religa szorował ręce mydłem aż po same łokcie. Uśmiechał się.

* * *

Wszystkie szpitale w całej Polsce wyglądają tak samo. Widocznie zostały zbudowane według jednego projektu. Kto by tam płacił tysiącowi architektów tylko po to, żeby każdy szpital był inny, dopasowany do kształtu działki budowlanej i warunków zabudowy. Przecież można powielić w nieskończoność ten sam projekt: wąskie korytarze, szerokie przestrzenie przy wyjściu do windy i sale chorych przypominające magazyny, z dwoma oknami na wprost od drzwi. Na ścianach oczywiście obowiązkowa lamperia w kolorze bładobeżowym, a na podłodze – szarzielone płytki PCV.

Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że są rakotwórcze, zresztą, kto by się tym zajmował na oddziale kardiologii – niech się tym martwią ci z onkologii.

Po takim właśnie wąskim korytarzu, dodatkowo ograniczonym przez sztuczną choinkę przystrojoną bombkami przy dyżurce pielęgniarek, kroczył pospiesznie kardiochirurg – Religa, a za nim starała się nadążyć starsza kobieta w chustce na głowie i wielką torbą w rękach. Torba była ciężka, zdecydowanie zbyt wielka jak na możliwości fizyczne kruchej staruszki, jednak ta nie chciała się z nią rozstać ani na chwilę.

– Panie doktorze, ja panu tak bardzo dziękuję... – wołając za nim usiłowała wcisnąć mu do rąk zwitek banknotów, lecz znacznie wyższy od niej lekarz podniósł obie ręce do góry i zdawał się przed nią uciekać, co wyglądało dość komicznie.

Wysoki, postawny mężczyzna szedł szybkim krokiem wyciągając energicznie przed siebie długie nogi, a za nim, drobnymi kroczkami sunęła pogoń w postaci starowinki, pomimo sierpniowych upałów, okutanej w gruby, wełniany sweter. Zupełnie, jakby lekarz miał powody sądzić, że ta słaba, pomarszczona istota może mu wyrządzić jakąś krzywdę tym właśnie zwitkiem banknotów, które nieustannie próbowała mu wrazić do kieszeni kitla.

– Droga pani, niech pani to zachowa dla dzieci i wnuczków, ja tylko wykonałem swoją pracę! – krzyczał Religa marszcząc czarne, krzaczaste brwi, ale nie odwracając się ani na chwilę do kobiety.

– Ale panie doktorze, niech się pan nie gniewa, ja prze-

cież tak z wdzięczności, za mojego męża... pan mu przecież życie uratował! Przecież to nie jest żadna łapówka! Co to to nie! No przecież już po operacji! Gdybym ja chciała łapówkę dać, to chyba, że dałabym wcześniej...

Chirurg skrzywił się i tylko potrząsnął głową z niesmakiem. Wszyscy przecież wiedzieli, że Religa nigdy nie brał łapówek ani nie miał zamiaru ich brać.

– Gdyby nie pan... nikt mu nie dawał żadnej szansy, wszyscy tylko doradzali żeby na trumnę zbierać... a pan, że operacja i że będzie żył...

Dziwny dreszcz przebiegł po plecach chirurga, w końcu się zatrzymał. Odwrócił się do kobieciny i w locie chwycił w nadgarstkach jej ręce zaciskające kurczowo zwitek banknotów. Spojrzał w pomarszczoną twarz, w której najbardziej wyróżniały się bladoniebieskie oczy, niegdyś zapewne piękne, a teraz wyblakłe od łez, lecz spoglądające na niego ufnie, z wdzięcznością... Zrobiło mu się jakoś nieprzyjemnie. Zupełnie jakby ktoś chwalił go niezasłużenie, za cudze osiągnięcia. Miał ochotę powiedzieć tej kobiecie otwarcie, że tak naprawdę jeszcze nic nie wiadomo, że dopiero kilka kolejnych dni zweryfikuje czy stan jej męża się ustabilizuje, że wszystko zależy od systemu immunologicznego, że organizm może odrzucić przeszczep... ale nie potrafił wyznaczyć prawdy. Pocieszał się, że prosta kobieta być może i tak nie zrozumiałaby jego słów, że może dlatego i tak nie było sensu ani potrzeby wyjaśniania jej medycznych zawiłości. Mimo to czuł się jeszcze gorzej, jakby okłamywał tę staruszkę, która nie mogła zrozumieć, dlaczego lekarz gardzi jej oszczędnościami, które chciała mu dać ze szczerego serca, bo wyda-

wało jej się, że tak należy, bo przecież w Polsce wszyscy lekarze biorą i pacjenci muszą im płacić. Inaczej niczego nie da się załatwić.

– Droga pani, raz jeszcze proszę, żeby schowała pani te pieniądze – rzekł w końcu patrząc kobiecie w oczy. – Na pewno bardziej przydadzą się pani rodzinie. Ja nie potrzebuję żeby mi pacjenci płacili, mam swoją pensję, szpital mi płaci.

– Ale to przecież nie jest łapówka, ja przecież tylko tak, z serca daję... – tłumaczyła się zmieszana. – Wszyscy wiedzą, że pan doktor łapówek nie bierze, ale ja bym tylko chciała, żeby pan doktor zajął się moim mężem tak szczególnie, bo on teraz tak bardziej potrzebuje...

Lekarz uśmiechnął się i potrząsnął głową:

– Ależ ja się wszystkimi pacjentami zajmuję tak szczególnie i bardziej – uśmiechnął się kładąc jej ręce na ramionach.

Musiał zgiąć nogi w kolanach, żeby się schylić i spojrzeć staruszce prosto w twarz, przemawiając spokojnie i łagodnie, jak do małego dziecka:

– Operacja serca to poważny zabieg i każdy z moich pacjentów wymaga szczególnego starania, na tym polega moja normalna praca. Nie trzeba mi za to płacić dodatkowo...

Starowinka patrzyła na niego z niedowierzaniem, szeroko otwierając oczy. Pierwszy raz w życiu spotkała się z lekarzem, który nie chciał od niej pieniędzy. I to wcale nie dlatego, że się obrażał czy gardził, bo za mało, ale po prostu nie chciał, mówił, że pensja, którą dostaje mu wystarczy.

– Pan jest świętym człowiekiem – rzekła, składając ręce jak do modlitwy. – Będę się za pana modliła, panie dokto-

rze, pan jest taki dobry. Pan Bóg na pewno panu dopomoże, i nam dopomoże. Bo Pan Bóg ma w opiece biednych ludzi i wszystkich dobrych ludzi, co w niego wierzą...

– Niech pani już idzie – odpowiedział. – Do domu pewnie ma pani daleko, a trzeba przecież jeszcze odpocząć, zebrać siły. Gdy mąż pani wyjdzie ze szpitala, będzie dużo pracy w kuchni, chłopa trzeba będzie solidnie odżywić, a mąż będzie miał specjalną dietę...

Starał się mówić jak najbardziej przekonująco i najwyraźniej mu się to udało, bo oczy kobiety rozbłysły jeszcze mocniej. Uwierzyła, że wszystko będzie dobrze, a Religa pragnął wierzyć w to równie mocno jak ona. Dygnęła jak pensjonarka i po stokroć dziękując, oddaliła się korytarzem do wyjścia.

Religa odetchnął z ulgą. Korytarz wydał mu się nagle taki pusty i spokojny, istna oaza wytchnienia.

– Panno Basieńko, ma pani chwilkę czasu? – zatrzymał idącą z basenem pielęgniarkę, która zaraz uśmiechnęła się filuternie, marszcząc zadarty nosek.

– Dla pana doktora, zawsze! – zażartowała, kryjąc rumieniec na widok sympatycznego i przystojnego doktora.

– Ech, czarownica, czarownica! – pogroził palcem z uśmiechem, po czym dodał łagodniej. – Bo wie pani, ja tu mam problem...

– Papieroski się skończyły...? – zmarszczyła brwi dziewczyna. – A wie pan, panie doktorze, że lekarze też od tego umierają?

Religa wciąż się uśmiechał, ale jego twarz wyrażała niezadowolenie. Milczał. W głosie dziewczyny brzmiała szczerą troska.

– No dobrze, pójdę kupić, akurat mam chwilkę czasu – powiedziała w końcu ugodowo.

– Niech ci Bóg w dzieciach wynagrodzi – zażartował znowu Religa, wołając za oddalającą się pielęgniarką i jednocześnie wyciągając z kieszeni kitla paczkę z ostatnim papierosem, którego od razu włożył w zęby.

Ta odwróciła się z uśmiechem i tylko pogroziła paluszkiem wchodząc do sali.

Zabezpieczywszy sobie dostawę tytoniu, wreszcie mógł spokojnie kontynuować obchód. Zapalił papierosa i z lubością wciągnął dym. Na terenie szpitala nie wolno było palić, ale nawet Religa wiedział, że nie tylko personel, lecz również pacjenci popalali skrycie w toalecie.

Ledwie za siostrą Basią zamknęły się drzwi oddziału, nagle na korytarzu zapanowało poruszenie.

– Kurwa, biegnij na trójkę, szybko, ruchy-ruchy! – rozległ się wrzask.

Młody doktor, biegnąc, potracił go i dopiero wyminawszy, zreflektował się i odwrócił:

– Doktorze, szybko! Dałem adrenalinę, Cichoń defibryluje, ale on schodzi... schodzi!!!

Pobiegli razem, ale było już za późno. Cichoń na miejscu reanimował pacjenta, jednak gdy przyszli, mimo reanimacji linia ciągną na monitorze zdążyła się ustabilizować.

– Nie! Kurwa nie!!! – krzyczał coraz mocniej dociskając aparaturę.

Religa z młodym doktorem doskoczyli na pomoc, ale nic już nie dało się zrobić. Twarz pacjenta całkiem zsiniała, co było ewidentnym objawem niedotlenienia. Minęły znacz-